ROK DRUGI.

№ 39.

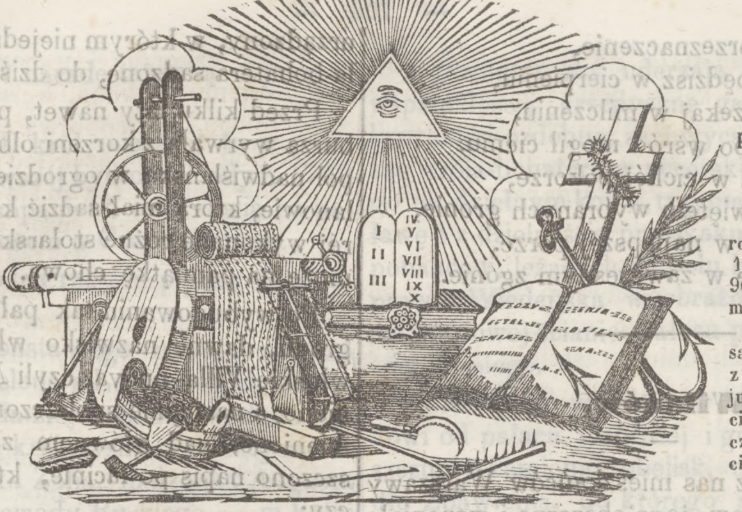
Warszawa

Dnia 15 (27) Wrze-śnia

1857.

Niedziela

16 po ŚWIĄT-KACH.



REDAKCYA CZYTELNI przy ulicy Chmielnej Nr. 1527.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Czekaj, aż nadejdzie Królestwo Boże—musisz jeszcze być doświadczanym na ziemi i przez wiele cierpień przechodzić—będzie ci niekiedy udzieloną pociecha, lecz nie sytość zupełna—pokrzepiaj się więc i bądź silnym tak w działaniu, jak w znoszeniu tego, co cię dolega. (O naśl. Chr. K. 3, R. 49).

Bóg z pomocą w sam czas przybywa.

—

Czemu twe serce cisną westchnienia,
Co niecierpliwie mierzysz twe kroki?
Bóg pełen łaski strzeże twe tchnienia,
On życiu twemu skreślił wyroki.
Nie trać odwagi w ciężkiem rozstaniu,
Gdy los dotkliwy dręczyć cię będzie,
Ufaj w Opatrzność, w tem przekonaniu,
Że Bóg z pomocą w sam czas przybędzie.

Gdy smutek czarny, umysł owładnie,
A w twojem sercu rozpacz zasieje;
Gdy pod zmartwieniem duch twój upadnie,
A w ludzką pomoc stracisz nadzieję;
To przecież wten czas nie zginiesz jeszcze,
Choć już ratunku prawie nie będzie,
Bo cię pocieszy przeczucie wieszcze,
Że Bóg z pomocą w sam czas przybędzie.

Darmo narzekasz, roniąc łez zdroje;
Nie drażń ran próżno, co się nie goją,
Czyż to lżéj znosić karę we dwoje,
Czy źródła cierpień, żale ukoją?
A gdy pomocy od przyjaciela
Z niecierpliwością uglądasz wszędzie,
Spotkasz niebawem pocieszyciela,
Bo Bóg z pomocą w sam czas przybędzie.

Jeżeli wierzysz w opatrzność Nieba,
Że włos nie spada bez Boga woli;
To ufaj szczerze, że gdy potrzeba,
On się nie spóźni wesprzeć w niedoli;
Bo choć ci, co masz, wszystko odbierze
I pozostawi w nieszczęsnych rzędzie,
On cię probuje, czy wierzysz szczerze,
Że Bóg z pomocą w sam czas przybędzie.

Gdy wśród boleści i bezsenności,
Ponuréj nocy wyglądasz końca,
Czyż niecierpliwość spędzi ciemności,
I czy przyspieszy wcześniéj wschód słońca?
Gdy Stwórca kreślił światów rozmiary,
Obrał wszystkiemu czas za narzędzie;
Czekaj i ufaj w dobroć bez miary,
Bo Bóg z pomocą w sam czas przybędzie.

A jeśli takie twe przeznaczenie,
Że całe życie spędzisz w cierpieniu,
To śmierci tylko czekaj w milczeniu,
A spoczniesz lubo wśród mogił cieniu.
I wtenczas uznasz w cichéj pokorze,
Ciesząc się w świętem wybranych gronie,
Że Bóg ci pomógł w najlepszéj porze,
Skracając nędzę w zawczesnym zgonie.

Wilanów.

Każdy prawie z nas mieszkańców Warszawy zna piękny Wilanow, jego obszerne i wspaniałe ogrody, w których niejednę chwilę wytchnienia i swobody wiejskiéj przepędził. Ale nie wszystkim może wiadome są jego przeszłe koleje, jakiemi w różne przechodził ręce. Ciekawą więc i pożyteczną będzie rzeczą opisać dawne jego dzieje.

Początek Wilanowa odległych sięga czasów, i czytamy w starych księgach, że Jan książę na Wiznie i Zakroczymiu, lat temu 400 przeszło wynagradzając zasługi dzielnego żołnierza Stanisława ze Strzelczykowa, nadał mu wieś *Milanow*, leżącą tu, gdzie dzisiejszy Wilanow. Odtąd miejsce to stało się gniazdem rodziny Milanowskich.

Jan III Król polski upodobawszy sobie to ustronne, a biegiem Wisły ożywione miejsce, nabył je 1677 r. przez koniuszego W. koronnego Marka Matczyńskiego, wraz z Powsinem Małym i Zawadami od rodziny Milanowskich, aby w nim po trudach królowania i wojen znaleść wytchnienie i odpoczynek. Ale włość nabyta nieodpowiadała potrzebie i okazałości monarszéj; zaraz więc zaczął budować pałac nowy, wedle planu włocha Józefa Beloti, i tak co do założenia budowy, jak i urządzenia ogrodów, sam król wydawał rozporządzenia. Sprowadzeni z Włoch, w budownictwie, rzeźbiarstwie, malarstwie biegli ludzie wzięli się do roboty, a jeńcy Tureccy, w poprzednich, mianowicie zaś w Chocimskiéj bitwie zabrani, wykonywali ręczne i mozolne prace. I niedługo powstał na miejscach dawniéj piasczystych okazały pałac królewski, który przy wiejskiéj prostocie i ciszy zajaśniał okazałością, bogactwem i wdziękiem. Niedługo też ujrzano i ogród obszerny i z wielkim gustem urządzony, w którym niejedno drzewo ręką króla-bohatera sadzone, do dziś dnia przetrwało.

Przed kilku laty nawet, przypominacie sobie, burza wyrwała z korzeni olbrzymią stuletnią topol nadwiślańską w ogrodzie królewskim w Wilanowie, którą miał sadzić król Jan III i z któréj wykonane różne stolarskie wyroby, niejeden może na pamiątkę chowa.

Po wybudowaniu tak pałacu i urządzeniu ogrodu, dawne nazwisko włości *Milanowa*, na włoskie Villa-nuova, czyli *Nowa wieś* przemieniono, a następnie spolszczone, na *Wilanow* zamieniono; nad głównem zaś wejściem umieszczono napis po łacinie, który po polsku znaczy:

Co gród odwieczny, (t. j. Rzym słynny ze sztuk) *czcił, teraz Nowa-wieś*, czyli Wilanów *posiada*. I słusznie napis rzeczony dostał się pałacowi, bo wiele dzieł sztuki, rzeźbiarstwa, malarstwa i t. p., oraz pamiątek już to z Włoch i Rzymu sprowadzonych, już też przez włoskich artystów wykonanych, pałac ten w sobie mieści.

Lecz gmach rzeczony w kształcie, jaki dziś posiada, nie odrazu był wybudowanym. Król Jan III wystawił tylko korpus pałacu z dwoma skrzydłami, oficyny dwie dobudowali następni właściciele.

Król Sobieski dla zaokrąglenia nowéj posiadłości dokupił późniéj niektóre części na Służewie, Wolicy i Powsinie Większym. Nie zapomniał król pobożny i o domu Bożym, i nowy kościołek w miejsce dawnego drewnianego wybudować kazał.

Dzień 17 Czerwca 1696 r. okrył całą Polskę smutkiem i żałobą; w tym bowiem dniu, w Wilanowskim pałacu, między godziną 8 a 9 wieczorem zakończył życie król-bohater, miłośnik sztuk i nauk.

Król Jan III zostawił córkę Teresę i trzech synów: Jakóba, Aleksandra i Konstantego, i temu to ostatniemu po śmierci ojca majętność Wilanowska dostała się w podziale. Nowy ten dziedzic z bratem Aleksandrem przyjmował tu Augusta II Sasa, królem polskim obranego 1698 r., kiedy wracał z Krakowa.

Oprócz tego monarchy, był tu i Karol 12 król Szwedzki, który najechał Polskę i z Pragi potajemnie się kazał przewieść przez Wisłę w maju; oglądał pałac w najdrobniejszych szczegółach i podobną wizytę powtórzył następnego

r. 1703, gdzie odbył naradę tajemną z prymasem Radziejowskim.

Ten sam August II król mieszkał tu w pałacu, w 34 lat po pierwszéj bytności, kiedy r. 1752 odbywał sławny kampament, czyli rewią na polach między Wilanowem a Czerniakowem.

I Piotr W. odwiedził raz ten piękny i królewski pałac.

Od królewicza Konstantego nabyła r. 1724 klucz wilanowski Helena z Lubomirskich Sieniawska, wdowa po Adamie, hetmanie wielkim koronnym, kasztelanie krakowskim; po niéj zaś odziedziczyła go córka Zofia, małżonka Augusta Czartoryskiego wojewody Ruskiego — w kolei Wilanow przeszedł w spadku na ich córkę Izabellę, która wydana za księcia Lubomirskiego marszałka Wgo koronnego, otrzymała w posagu dobra Wilanowskie—aż nareszcie Aleksandra córka tegoż marszałka oddawszy rękę Stanisławowi Potockiemu b. ministrowi Oświecenia i Wyznań religijnych, a dziadowi dzisiejszego dziedzica, wniosła dobra Wilanowskie w rodzinę Potockich.

—

Wilanow poważna dawna siedziba monarchy, stała się w kolei czasu pysznym przybytkiem prywatnych, zachowując królewską świetność i bogactwo. Porządek, czystość i wykwintnosć dzisiejsza, szumiące wodotryski, bogata roślinność kwiatów i drzew dawniéj nieznanych, zastąpiły królewskiej ustroni przeszłą jéj powagę. Dzisiejsza piękność zewnętrzna pałacu, odpowiada wewnętrznéj jego okazałości.

Widzieć tu można jeszcze po 3, 4 i 5 nawet zegarów w pokojach królewskich, kosztowne szkatuły, w których królowa jeszcze Marya Kazimira żona Jana III przechowywała klejnoty; jest i owo słynne biurko, które Ojciec Ś. Innocenty XI przysłał w darze Janowi III za obronę Wiednia i całego chrześciaństwa od zalania turków. Znajduje się tu nadto taca duża srebrna, na któréj jest przedstawiony na wozie tryumfalnym król Sobieski z żoną. Dar ten ofiarowało mu miasto Kraków za tęż samę obronę—że już niewspomnę o portretach królów, królowych i znakomitych ludzi, zasłużonych krajowi.

Obszerna biblioteka, pokoje chińskie, galerya obrazów i wiele innych tym podobnych bogactw dopełniają ozdoby wnętrza pałacowego.

Z zewnątrz zaś uderzają mianowicie swoją wspaniałością przepyszne galerye pałacowe i krużganki ozdobne; zachwyca nasze oczy ów posąg króla-bohatera w rycerskiej zbroi, siedzącego na dzielnym koniu, trzymającego w ręku buławę i z dzielnością przeskakującego przelękłych pohańców, leżących na polu bitwy. Cała zaś wyprawa Wiedeńska wyobrażoną jest w rzeźbie na frontowéj ścianie pałacu przy głównem wejściu do niego.

Oprócz tego widzimy w ogrodzie ku Powsinkowi od pałacu, z pięknéj i gustownéj wystawy szczupły kamienny obelisk, dzisiaj noszący godło Zbawienia, do którego się piękne podanie wiąże. Nadto około kościoła spostrzegasz duży, kamienny grobowiec, który miłość synowska wzniosła; postawił go Aleksander Potocki dla ojca swego Stanisława i matki Aleksandry — pomnik ten tworzy niejako jednę piękną całość z obszernym i ozdobnym pałacem.

—

A cóż dopiero te pyszne i rozległe ogrody, do których zaprasza napis nad bramą wchodową w języku łacińskim, tłumaczący się tak po polsku: *Pójdźcie tu zapomnieć w słodkiéj pociesze, gorycze życia waszego.*

Rzeczywiście w ogrodach tych, jak raju ziemskim zapomina się i ból i troska, co serce rani; pierś oddycha spokojniej, serce rzewniéj bije, i ta luba wiejska, choć majestatyczna ustroń, przenosi nas w słodkie dumania o rajskich, nieznanych nam na tym padole płaczu słodyczach.

Na lewo od wchodu w ogrodzie zaraz spotykasz dwa posągi kamienne; sąto dwaj sławni poeci polscy: Jan Kochanowski, żyjący za Jagiellonów w Polsce i drugi Franciszek Karpiński, którego śpiewacie znane pieśni: *Kiedy ranne*, *Do Ciebie Panie*, *Bóg się rodzi*, wiele psalmów i wreszcie znaną każdemu sielankę: *Filon i Laura.*

A gdy zejdziesz na dół, cicha łacha wiślana odbija tu spokojnie, ciągną się nad nią ponure wiązy i płonące kaliny; biegniesz za ich rzędem, aż ci się odkrywa uroczy, pełen zieloności Morysin, na którym wzrok zadumany spoczywa długo i oderwać się nie daje.

—

To obraz pobieżny Wilanowa i jego ogrodów. Ale odwróć się przechodniu!—oto od plebanii na prawo wznosi się domek, a w nim chowają się dziatki wiejskie i sierоce, aby z nich pociecha i

Bogu i ludziom się stała; na lewo zaś szpital, przytułek chorych i kalek, pod zarządem Siostr miłosierdzia, niezmordowanych w niesieniu ulgi cierpiącym. Tam kolebka, a tu grób życia, nad któremi jedna i ta sama Opatrzna ręka Wszechmocnego czuwa.

—

I oto zadzwonili w miejscowym kościołku na Anioł Pański; ciche pacierze wybiegły do nieba, uklęknij i ty przechodniu! westchnij do Boga i za tych, co tu cierpią, i dla tych, co te cierpienia i rany goić potrafią!

Głuchoniemy.

—

W małem miasteczku, położonem o kilkanaście mil od Warszawy, zajmował w roku 1828 posadę nauczyciela szkoły elementarnéj, niejaki Kazimierz Jedliński.

W młodym wieku utraciwszy rodziców, zostawał na opiece stryja swego proboszcza parafialnego, od którego pierwiastkowe przyjąwszy wychowanie, oddany został do szkół Piotrkowskich. Po chlubném ich ukończeniu, przybył do swego opiekuna na dni kilka, w celu naradzenia się nad wyborem przyszłego stanu. W tym czasie właśnie, zawakowała tam posada nauczyciela elementarnego, na którą młody Jedliński podał się bez namysłu, pomimo usilnych odradzań krewnych i znajomych, którzy mu obiecywali z edukacyą, jaką przyjął, większe widoki. Tylko opiekun, którego Jedliński całem sercem czcił i szanował, mógłby był odwieść go od tego kroku, ale ón pozostał na to zupełnie obojętnym; czy to, że pochwalał w myśli podobny wybór, czy też, że nie chciał się sprzeciwić synowcowi, którego bardzo kochał, i rad był mieć go przy sobie — dosyć, że Jedliński tym sposobem objął wkrótce żądaną posadę nauczyciela, i kiedy stryj z całą powagą kapłana, głosił wymownie z kazalnicy słowo Boże, wzywając powierzonych mu parafian do życia bogobojnego i cnotliwego, młody Jedliński w szkole obok nauki zwyczajnéj, wpajał w młode serca zasady moralności chrześciańskiéj; i gruba w obyczajach, zaniedbana po większéj części w wychowaniu młódź miejska, kształciła się widomie pod ojcowskim jego sterem, na porządnych i uczciwych ludzi.

W tak czynném i pracowitem życiu, zeszło Jedlińskiemu lat kilka, wciągu których pojął za żonę ubogą lecz cnotliwą panienkę. Pobłogosławił Bóg ten związek jedyną córeczką, któréj dano imie Aniela. Łatwo się domyśleć, jakim był ojcem ten, co tak ściśle pojmował obowiązki względem bliźnich. To też młodziutka Aniela stawała się z wiekiem prawdziwą pociechą rodziców. Mając niespełna lat dziesięć, już pomagała ojcu w pracy, ucząc w szkole młodsze od siebie dziewczynki abecadła i czytania polskiego.

Każdy mający jakiekolwiek poczucie dobrego, widząc tę usłużną, litościwą i chętną dla każdego dziecinę, musiał powziąć w głębi serca cześć dla rodziców za tak staranne jéj wychowanie.

Bystre pojęcie Anieli pomagało przy szczeréj z jej strony chęci, do przyjmowania z wielką korzyścią nauk, na które ojciec pracy, a ksiądz Jan kosztów nie szczędzili. Przywykłszy obok tego słyszeć często od ojca pożyteczną jakąś naukę, którą rozsądni rodzice z każdéj okoliczności wyprowadzić potrafią, nauczyła się wcześnie z uwagą i roztropnością przypatrywać wszystkiemu, co ją otaczało, i odnosić się po każde objaśnienie do ojca lub matki. Skutkiem tego następowały nauczające rozmowy, z których jednę, jako w związku będącą z dalszym ciągiem naszéj powiastki, przytoczymy.

— Mój tatku! zapytała raz ojca dziewczynka, czy tatko uważał w kościele Jasia, który przyjechał z Warszawy do rodziców na wakacye, jak przykładnie i szczerze się modlił na książce, a wszak on głuchy i niemy; radabym więc wiedzieć, jak zdołano go tego nauczyć, i kto się tem zajmuje?

— Moje dziecię, odpowiedział ojciec, prawdziwa miłość bliźnich i poświęcenie się dla nich chrześciańskie, wszystkiego przy pomocy Bożej, na ich dobro i pożytek dokonać mogą. A z podobnem uczuciem zsyła nam Opatrzność ludzi, aby byli ochroną w nędzy, pociechą w cierpieniu i pomocą w upadku moralnym dla swych braci. Jednemu z takiéj liczby zawdzięcza swój początek Instytut Głuchoniemych w Warszawie, o którym opowiem ci pokrótce, kiedy cię tyle przedmiot ten zajął.

Pierwszym u nas w kraju, co uczuł potrzebę podobnego zakładu, był czcigodny ksiądz Jakób Falkowski. Litościwy ten kapłan, poznawszy

w r. 1802 w mieście Szczuczynie, gdzie obowiązki nauczyciela szkoły Pijarów sprawował, siedmioletniego Piotra Gąsowskiego głuchoniemego z urodzenia, wziął go do siebie, i w ciągu kilkoletnéj pracy, na którą wszystek czas wolny poświęcał, nauczył wychowańca swojego tyle, że ten i mówiących do siebie zrozumieć i odpowiedzieć dość wyraźnie był zdolny. Władza naukowa powziąwszy o tem wiadomość, wezwała Falkowskiego w r. 1809, już wtedy Rektora zgromadzenia księży Pijarów i szkoły w Szczuczynie, aby przywiózł do Warszawy wyuczonego swego głuchoniemego z opisem sposobu, jakiego w tym razie używał, a w parę lat późniéj, zaproponowała mu założenie Instytutu głuchoniemych w Warszawie.

Falkowski, którego gorącem pragnieniem serca było polepszyć smutny los dotkniętéj podobnem kalectwem młodzieży, zgodził się na to, i w roku 1815 wyjechał do Wiednia z trzema głuchoniemymi polakami. Po dwuletnim tam pobycie, obeznawszy się już dokładnie z potrzebną ku temu nauką, powrócił do Warszawy, gdzie niedługo potem, mając wyznaczony ze strony Władzy początkowy fundusz, założył Instytut Głuchoniemych, który dnia 23 Października 1817 roku publicznie otwartym został, umieszczony pierwiastkowo w lokalu prywatnym, dopóki go nie przeniesiono w r. 1827 do umyślnie na ten cel wystawionego domu przy ulicy Wiejskiéj, gdzie dotąd się mieści.

W ślad Falkowskiego poszło dziś wielu zacnych ludzi, którzy nie lękając się ciężkiéj i mozolnéj pracy, oddają się nauce głuchoniemych. A kiedy z postępem czasu fundusze zakładu wzrosły, wtedy i możność kształcenia znaczniejszéj jak w początkach liczby głuchoniemych i ociemniałych biednego stanu, została ułatwioną. Jakiém zaś dobrodziejstwem jest on dla kraju, przekonywają nas wychodzący ztamtąd uzdatnieni, pilni i moralnie wychowani rzemieślnicy, jak równie pracowite i zręczne w kobiecych robótkach dziewczęta, którychby przyszłość była po większéj części ciężarem rodzeństwu i społeczeństwu; gdy tymczasem usposobieni w tym błogosławionym przybytku na użytecznych i pracowitych ludzi, zdolni są częstokroć dać pomoc i opiekę innym.

Na tem skończył opowiadanie ojciec Anieli, które i dla was czytelnicy! nie może być obojętnem; bo każdego obchodzić musi los téj nieszczęśliwéj młodzieży, stanowiącéj z samego dzieciństwa przykry i bolesny wyjątek.

Uważna córeczka wysłuchała tego pilnie, a po niejakim namyśle i wynurzeniu serdecznego uwielbienia dla zacnego księdza Falkowskiego, odezwała się z żywością do ojca:

— Tatko wspomniał, że w Instytucie Głuchoniemych kształcą się i dzieci biednego stanu, czyby więc nie można i Józia wyrobnicy Ziembickiéj obok nas mieszkającéj, tam pomieścić? Biedna kobieta gryzie się tem ciągle, jaką radę da sobie po jéj śmierci głuchoniemy synek.

— Dzięki ci drogie dziecko, odrzekł ojciec, ucałowawszy z czułością dobrą Anielcię, żeś mi tę myśl nasunęła. Mam właśnie pomiędzy profesorami Instytutu kolegę szkolnego, na którego przyjaźń i dobre serce rachować mogę. On nam to, spodziewam się, ułatwi.

Na drugi dzień wezwano wdowę Ziembicką i przedstawiono projekt względem jéj syna. Zalała się ona łzami na myśl podobnego rozłączenia ze swym Józiem, potrzebującym tem większéj z powodu swego kalectwa opieki. Ale kiedy jéj opisano troskliwą pieczołowitość, jakiéj głuchonieme dzieci w Instytucie doznają, a najbardziéj, kiedy zaspokojono ją co do przyszłego losu syna, zgodziła się wreszcie—bo serce matki zdobędzie się na każdą ofiarę, gdy idzie o dobro jéj dziecka.

W skutek tego pan Jedliński wyprawił bez zwłoki list do Warszawy, w którym upraszał swego przyjaciela o potrzebne w téj mierze wyjaśnienia. Nadeszła niedługo odpowiedź z doniesieniem, iż z początkiem przyszłego roku szkolnego, do którego było tylko dwa miesiące, zawakują dwa miejsca bezpłatne dla młodzieży głuchoniemej w Instytucie, a z tych jedno po dopełnieniu wskazanych formalności, może zająć Józef Ziembicki. Nie należało zatem zwlekać, i dlatego wkrótce potem, po tkliwych pożegnaniach matki i syna, sam pan Jedliński głuchoniemego Józia, jedenaście lat wtedy liczącego odwiózł do Warszawy, i w Instytucie Głuchoniemych pomieścił.

Cztery lata minęło, w czasie których wdowa Ziembicka odwiedziła parę razy swego syna, gdy w rodzinę Jedlińskich bolesny cios uderzył. Po krótkiéj chorobie Kazimierz Jedliński zakończył przedwcześnie pracowity swój żywot, pozostawiając wdowę bez żadnego majątku z o-

sieroconą córką. Mocna tylko wiara i poddanie się chrześciańskie woli Boskiéj, potrafiły ukoić rozpacz Jedlińskiéj i wlać w nią podwójne siły do dalszego wychowania jedynaczki.

W smutném tem położeniu, zacny proboszcz stryj ś. p. Jedlińskiego, był całą dla sierot pomocą, ale i ten w trzy lata potem pożegnał ich na wieki. Szczęściem dla nich, że siedmnastoletnia już podówczas Aniela skończyła właśnie edukacyą, i ufna w swe młode siły postanowiła rzucić się z całym zapałem do pracy. A że małe miasteczko, w którem mieszkały, nie mogło jéj dostarczyć odpowiedniego zajęcia, zamierzyła zatem przenieść się do Warszawy z matką, która także ze swéj strony miała nadzieję znaleść tam dla siebie jakieś zatrudnienie i zarobek.

W roku więc 1835, to jest w lat siedm po poznaniu przez nas familii Jedlińskich, spieniężywszy, jakie miały ruchomości i pożegnawszy serdecznie wszystkich życzliwych i znajomych sobie, a między nimi i wyrobnicę Ziembicką, która już dziś własną ręką syna pisane listy od niego odbierała, puściła się Jedlińska wraz z córką do Warszawy.

Znały już nieco to miasto, bo były tu dwa razy z dziadkiem. Umieściły się więc najskromniéj za zebrany z wyprzedaży kapitalik, w małem mieszkanku przy ulicy Leszno, i Aniela zajęła się niebawnie wyszukaniem dla siebie zatrudnienia. Szczęśliwym trafem po zgłoszeniu się do kantoru stręczeń, parę lekcyj naraz pozyskała; a po upływie niespełna pół roku, nie przeciążając się zbyteczną pracą, tak korzystne miała lekcye, że nietylko na przyzwoite jéj z matką starczyły utrzymanie, lecz nadto mogła ze swego dochodu coś na nieprzewidziany wypadek zaoszczędzić.

Ale pomyślność rzadko jest trwałą; wkrótce troska nawiedziła biedne kobiety. Aniela zapadła na ciężką chorobę, w któréj wszystkie starania i troskliwość matki nie przyniosły ulgi; a kiedy się ów oszczędzony fundusz wyczerpnął, stanęły biedne sieroty w położeniu, jakich niemałą liczbę kryją mury Warszawy. Wtedy to sąsiadki, które w nieszczęściu po większéj części tylko radzić umieją, choć w tym wypadku miały i słuszność, zaczęły namawiać Jedlińską, aby odwiozła córkę do szpitala. Zatrważająca to była ostateczność dla kobiety, nieznającéj jeszcze dokładnie urządzenia naszych szpitali i czyniącéj sobie jak najsmutniejsze o nich wyobrażenie. Ale kiedy choroba coraz więcéj niszczyła ukochaną jedynaczkę, namyśliła się wreszcie zgodzić się na to.

Jednego zatem dnia w poobiedniéj godzinie sprowadzono dorożkę, i biedna matka tłumiąc bolesne łkania, krzątała się nad wyprawą Anieli do szpitala. W téj chwili biegł po schodach młody i porządnie ubrany człowiek, zajmujący w tymże samym domu od kilkunastu dni jednę z górnych izdebek. Rzuciwszy w przechodzie okiem przez uchylone drzwi do stancyjki Jedlińskich, i ujrzawszy scenę, jaka w niéj miała miejsce, zatrzymał się, spojrzał bystro i ciekawie zamyślił się, jakby sobie co przypomniał— poczem wszedł do niéj spiesznie, a wyjąwszy z pugilaresu kartkę czystego papieru, nakreślił na niéj ołówkiem te słowa:

„Jestem Józef Ziembicki, syn biednéj wyrobnicy, a dziś wypadkowo i sąsiad pani. W przykrem widzę spotykam ją położeniu, i dlatego spieszę z pomocą którą chciej pani przyjąć jako dług wdzięczności należny wam za zapewnienie swém staraniem losu upośledzonéj od natury sierocie,“ i podał pani Jedlińskiéj.

Niespodziana ta pomoc była dla strapionéj matki widoczną opieką nieba. Powitała serdecznie dobrego Józia, który wtedy był już czeladnikiem introligatorskim, a przekonawszy się, że usługa, z jaką się ofiaruje, nie będzie mu przy korzystnym jego zarobku zbyt uciążliwą, nie wahała się przyjąć potrzebnego na domową kuracyę córki zasiłku, pocieszając się przytem tą myślą, iż aby tylko Aniela przyszła do zdrowia, będą w stanie takowy z łatwością Józefowi powrócić.

Tak więc sprawdziły się więcéj jak przewidział ś. p. Jedliński jego słowa, kiedy opowiadając córce o Instytucie Głuchoniemych, wyrzekł, iż ci, którzyby byli po większéj części ciężarem rodzeństwu i społeczeństwu, usposobieni w tym błogosławionym przybytku na użytecznych i pracowitych ludzi, zdolni są w przyszłości dać pomoc i opiekę innym; więcéj mówię, bo nie przewidział, że takiéj pomocy i opieki dozna kiedyś pozostała po nim wdowa i córka. Świadcząc czyn dobry Ziembickiéj przez pomieszczenie jéj syna w Instytucie Głuchoniemych, mógłże był się domyśleć, że przysposabia obrońcę i pocieszyciela w nieszczęściu tym których wczesną śmiercią osierocił. Przekona

my się z tego, że idących drogą pracy i uczciwości strzegą aniołowie pańscy.

W półtora miesiąca potem Aniela była już w stanie rozpocząć swe prace —z niemi dostatek i dawny tryb życia powrócił, urozmaicony jak dla Jedlińskich tak i Józefa wznowioną, a miłą dla stron obudwu znajomością. Czas nareszcie zrodził w tym ostatnim nieznane mu dotąd uczucie. Przywiązał się całem sercem do Anieli, ale lękał się biedny, czy ona zechce podzielić swe życie z kaleką. Stara Jedlińska to spostrzegła, i choć z duszy radaby przyjąć go za syna, oceniając piękny jego charakter, niepokoiła się jednak mocno, aby sama wdzięczność Anieli bez wzajemnego ku Józefowi przywiązania nie skłoniła jéj do poświęcenia.

Aby więc wcześniéj temu zaradzić bez narażenia Józefa na przykry zawód, postanowiła pomówić o tem otwarcie z Anielą. Ale tu dopiero w zupełności poznała uszczęśliwiona matka, jak godną wychowała córkę, kiedy z ust jéj po zręcznie na ten przedmiot skierowanéj rozmowie, usłyszała następujące słowa:

—Droga moja matko! szanuję Józefa i uwielbiam dobre przymioty, jakie czas pozwolił mi w nim odkryć — to dosyć dla mnie, abym z spokojem powierzyła mu swą przyszłość; bo, nieszczęście jego, którem jest brak mowy nie zraża mię, ale owszem rodzi w sercu nową siłę, z którą najprzód jako chrześcianka, a potem żona, będę się starała tę przykrość mu osładzać.

Skutkiem więc tak przychylnych nawzajem usposobień, w lat parę potem, kiedy Józef Ziembicki został majstrem, nastąpiło jego połączenie węzłem małżeńskim z Anielą.

Niedługo młodzi małżonkowie przenieśli się z Warszawy do jednego z miast gubernialnych, gdzie Ziembicki jest pierwszym w swéj professyi rzemieślnikiem, posiada sklep i liczny warsztat, a przy wspólnéj z żoną pracy przyszedł już do znacznego mienia. Matki zaś obojga małżonków doznawały przy nich do późnego wieku wszelkich wygód wiekowi właściwych.

—

W zakończeniu tego obrazka, aby dopełnić opowiadanie ś. p. Jedlińskiego, na początku zamieszczone, a tyczące się Instytutu Głuchoniemych w Warszawie, powiemy jeszcze słów kilka o szanownym jego założycielu, któremu cześć i pamięć powszechna należy.

Ksiądz Jakób Falkowski po założeniu Instytutu Głuchoniemych jak widzieliśmy w r. 1817, sprawował w nim z ojcowską pieczołowitością urząd Rektora do r. 1831, w którym z powodu strganych sił wziął uwolnienie, nie przestając jednak do samego zgonu dla dobra instytutu pracować.

Zamieszkawszy przy końcu życia we wsi Guzowie, na kilka miesięcy przed śmiercią wrócił do instytutu, gdzie czując się bliskim kresu dni swoich, przygotowany na drogę wieczności, w dniu 2 września 1848 r. otoczony głuchoniemą dziatwą, dla któréj cały swój żywot poświęcił, oddał ducha Bogu, mając lat wieku 75.

Zwłoki jego złożone zostały w katakumbach kościoła Śgo Aleksandra.

O drzewach w lasach naszych rosnących.

(Ciąg dalszy).

—

Grab (Carpinus). Jeden gatunek *grab zwyczajny* (C. Betulus) rośnie na każdym gruncie, a mianowicie lekkim, piaskowym, obfitującym w próchnicę. Bywa albo czystym lasem, albo też rośnie wraz z dębem, sosną i leszczyną. Jest to drzewo średniéj wielkości, do 80 stóp wysoko wzrasta i trwa lat 50. Pień prosty, ale nie walcowaty, jak u innych drzew, lecz wklęsłościami podłużnemi oznaczony, kora na pniu siwa, mało popękana; drzewo białe, czyste, gęste, łupliwe, twarde, ciężkie, najwięcéj ze wszystkich wytrzymuje tarcie i dlatego używa się głównie na palce do kół młyńskich, cywie i zęby do bron, niemniéj na panewki pod walce żelazne, które sztorcem ustawione, są wytrzymalsze od mosiężnych. Grabowe drzewo mniéj do budowy, za to więcéj na różne wyroby w rzemiosłach, a szczególniéj stolarszczyznie i tokarstwie jest używane. Meble stolarskie tylko z drzewa grabowego się robią; prócz tego na różne narzędzia się używa, jakoto: prassy, szruby, osie, płozy, kliny, linije, toporzyska do siekier i młotów kowalskich, widły, bijaki do cepów i t. d.— do tego celu lepsze jest drzewo młode, gdyż stare jest kruchsze i prędzéj pęka. Na opał grabina pierwsze miejsce trzyma po buku, daje mocny ogień, dużo węgli zarzących się, i dlatego jest najlepszem drzewem na kuchnie i do pieców. Wydaje dużo popiołu zdatnego na potaż; ług z tego popiołu jest najlepszy do prania.

Liście świeże i suszone są dobrą paszą dla owiec, kóz i bydła. Grabina używa się na żywe płoty, które tem się gęściej rozrastają, im więcej są obcinane. W dawniejszych ogrodach francuzkich i włoskich sadzono grabinę w gęstych szpalerach, w różne desenie, robiono z niéj labirynty i t. p.; teraz gdy upowszechnił się gust do ogrodów angielskich, rzadko już można widzieć owe regularne i jednostajne po ogrodach szpalery, wysadzane troskliwie obcinaną grabiną.

Podarunki Papieżów.

—

Papieże królom, książętom lub wodzom, którzy się szczególną pobożnością, albo męztwem w walce z niewiernymi odznaczyli, posyłali w podarunkach miecz i czapkę poświęconą, albo też kapelusz i szpadę; niewiastom zaś złotą różę—ale to w czasach późniejszych, bo dawniéj ją i królom ofiarowywano. Tak Kazimierzowi Jagiellończykowi królowi polskiemu poseł papieski wręczył złotą różę. Zwyczaju tego najdawniejszy przykład mamy 1385 r.

Podarunki rzeczone poświęcane były zwykle w wielkie święta, mianowicie w uroczystość Bożego Narodzenia. Miecz miewał złotą rękojeść, czapka zaś bywała aksamitna karmazynowa, okrążona złotym sznurkiem, a w środku był haftowany gołąbek, oznaczający Ducha św.

Oprócz Kazimierza Jagiellończyka, królowe i królowie polscy często odbierali od Stolicy apostolskiéj podobne oznaki łaski i życzliwości.

Zygmuntowi I królowi Klemens VII papież 1525 r. darował podobny miecz i czapkę poświęconą; podał je monarsze w dzień Wniebowstąpienia Pańskiego Piotr Tomicki podkanclerzy koronny.

Takież podarunki od ojca św. ofiarowano królewiczowi Zygmuntowi Augustowi 1540 r. Henryk Walezy otrzymał różę złotą, a Stefanowi Batoremu królowi przywieziono z Rzymu 1580 miecz i czapkę od papieża.

Dnia 20 lipca 1684 ojciec ś. Innocety XI za uratowanie Wiednia od Turków przysłał Królowi Janowi III i jego żonie Maryi Kazimierze takież podarunki w Wilanowie: *biurko* z hebanu, szyldkretu i słoniowéj kości i *różę* złotą z brylantami.

Opiszemy tu krótko ceremonią towarzyszącą wręczaniu papieskich prezentów, z którą odbywano zwykle podobne uroczystości.

Król Jan z żoną, z synem Jakóbem, i senatorami przybył dnia oznaczonego do Żółkwi w Galicyi—zastał tu już Nuncyusza apostolskiego i posła weneckiego. Jechał Nuncyusz wspaniałą karetą w licznym orszaku, a przed nim niesiono wspaniały szyszak i miecz drogi dla króla bohatera, bogatą zaś różę dla królowéj. Za nim jechał król z małżonką.

Nuncyusz odbył naprzód mszą Śtą, następnie zasiadł pod baldachimem z 4 biskupami, kazał odczytać listy wierzytelne Ojca św., a w końcu sam głos zabrał, i w pięknéj przemowie wyliczył dzieła i zwycięstwa królewskie.

Zbliżywszy się potem do ołtarza, udzielił monarsze, błogosławieństwo swoje, a gdy król przystąpił do niego, Nuncyusz włożył mu na głowę ów bogaty szyszak z karmazynowego aksamitu, obwiedziony złotem i drogiemi klejnotami wysadzany; poczem przypasał mu miecz do boku. Miecz ten miał pochwy i rękojeści szczero-złote, błyszczał dyamentami, a długi był na półtrzecia łokcia.

Różę zaś złotą wartości przeszło 1500 dukatów, ofiarował Najjaśniejszéj pani.

Po odbyciu ceremoniału udali się królewstwo do namiotów zdobytych na Turkach, gdzie w późną noc senatorowie i dygnitarze zagraniczni przy wspaniałej uczcie, z królem i królową siedzieli.

Przypowieści.

—

1. Nie odrzucaj precz nadzieje, jakoćkolwiek ci się dzieje.
2. Dziecię za rękę, matkę za serce.
3. Zły to ptak, co gniazdo swoje plugawi.
4. Ciężka boleść, kiedy się chce jeść; jeszcze cięższa, kiedy jedzą, a nie dadzą.
5. Kto łaskawy, nie zapominaj, a kto niełaskawy, nie wspominaj.

W druk. J. Unger.—Wolno drukować. Warszawa d. 9 (21) września 1857 r. — Starszy cenzor, *F. Sobieszczański*.